

Rozdział I

Kwietniowe słońce nad Biebrzą chyliło się już ku zachodowi. Dzień, jak na tak wczesną porę roku, był wyjątkowo ciepły. Pod wieczór czuło się rześki, wiosenny chłód, ale w dzień temperatura przekroczyła dwadzieścia stopni. Podczas gdy na południu kraju można było jeszcze szusować na nartach, tutaj, nad Biebrzą, wszyscy już dawno zapomnieli o śniegu. I chociaż ten zakątek kraju uznany został przez meteorologów za polski biegun zimna, to tegoroczna wiosna tego nie potwierdzała. Tylko ten, kto zna te nadbiebrzańskie strony, potrafi w pełni ocenić ich niepowtarzalne piękno. Piękno niezależne od pory roku czy dnia.

Tego dnia zachód słońca nad Biebrzą był wyjątkowo urokliwy. Słynne Biebrzańskie Bagna wyglądały bardzo przyjaźnie. W taki wieczór nie pamięta się o ich mrocznych tajemnicach. Jednak legend o ich złej sławie krążyło w okolicznych wioskach bardzo dużo.

Zaledwie dwa lata temu odnaleziono starą Justynę z pobliskiej wioski, a właściwie to, co po niej pozostało. Pięć lat wcześniej, wiosną 1980 roku, zapędziła się na moczary w poszukiwaniu swojej krowy. Nigdy stamtąd nie powróciła. Rodzina zgłosiła milicji jej zaginięcie i równocześnie próbowała szukać na własną rękę. Po kilku dniach poszukiwań zarówno milicja, jak i rodzina dały sobie spokój. Bagna nie przywykły do oddawania swoich ofiar. Tylko czasami wśród okolicznej ludności krążyły pogłoski, że znowu ktoś widział unoszącego się nad moczarami ducha starej Justyny. Najprawdopodob-

niej były to opary mgły formujące się w różne dziwne kształty, ale ludzie wiedzieli swoje. W takie dni, gdy znowu ktoś przynosił wieść, że widział krążące widmo ducha Justyny, jakaś niewielka postać podążała w kierunku bagien, żeby przez zapalenie świeczki zapewnić spokój jej duszy. Była to Zosia, wnuczka starej Justyny, dla której bagna były czymś więcej niż mokrymi terenami cieszącymi się złą sławą. Były jej miłością. Nauczyła ją tego bezwiednie babka, stara wieśniaczka, opowiadając dziecku niezliczone historie związane z moczarami. Jedna z nich szczególnie utkwiała w pamięci Zosi. Była to opowieść o księżniczce uwięzionej na bagnach przez okrutnego ojca, który nie pozwolił córce na poślubienie ukochanego rycerza. Dziewczynka z wypiekami na twarzy słuchała o pochłonięciu rycerza przez bagna w czasie poszukiwań ukochanej, wreszcie o ukazującej się w każdy piątek, w który to dzień, jak krążyła legenda, bagna miały wciągnąć w swą czeluść zakochanego wojaka, jakiejś olbrzymiej postaci w czarnej, ciężkiej zbroi, wreszcie o tym, że duch rycerza przestał się ukazywać w momencie podjęcia przez okrutnego ojca decyzji o wybudowaniu kościoła, który miał być zadośćuczynieniem za grzech rozdzielenia zakochanych.

Słoneczny dzień sprzyjał jednak myśleniu o rzeczach miłych i przyjemnych, a nie o ponurych historiach związanych z moczarami.

W taki to kwietniowy wieczór groblą szło dwoje młodych ludzi. Można by powiedzieć, że była to bardzo piękna para, gdyby słowo „para” pasowało do nich. Ale tak nie było, bo choć obydwójce byli bardzo młodzi i urodziwi, to coś ich od siebie zdecydowanie różniło.

Byli to Maciek Chojewski i Zosia Zaburzanka, wnuczka owej słynnej Justyny z bagien. Maciek, dwudziestoczteroletni student Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego, był wysokim, bardzo przystojnym młodzieńcem, o jasnych, gę-

stych włosach, które w wyjątkowo niesforny sposób układały się na jego głowie i często denerwowały ich właściciela.

Nie wiadomo, czy to z powodu włosów opadających na czoło w bardzo drażniący sposób, szczególnie gdy były za długie, bo ich posiadacz nie miał czasu albo pieniędzy, żeby pójść do fryzjera, czy było to coś, z czym Maciek przyszedł na świat, w każdym razie nawet z daleka można było go rozpoznać po charakterystycznym ruchu głowy, gdy próbował odrzucić z czoła burzę włosów.

Chociaż Maciek pochodził z maleńkiej wioski, zagubionej gdzieś pośród mazurskich jezior, widać było po nim wielkomięską ogładę. Był ubrany w bardzo modne dzinsy, taką samą kurtkę i drogie skórzane buty, kończące się aż w połowie łydki. Na zakup tych butów mógł sobie pozwolić tylko dzięki korepetycjom, na które biegał kilka razy w tygodniu, udzielając lekcji niezbyt garnącym się do nauki uczniom z bogatych domów. Rodzice Maćka, małorolni chłopci utrzymujący się z niewielkiego gospodarstwa, robili wszystko, żeby syn, z którego byli bardzo dumni, mógł ukończyć uniwersytet. Chłopak był jedynakiem, co w przypadku wiejskich rodzin jest czymś bardzo rzadkim, ale matka Maćka, z powodu zaniedbań lekarzy i komplikacji, które nastąpiły po porodzie, nie mogła mieć więcej dzieci. Dlatego z mężem Franciszkiem dmuchali i chuchali na swojego jedynaka, nie zmuszając go do tak ciężkiej pracy na roli, jaka była udziałem innych wiejskich dzieci. Z tego też powodu marzeniem Maćka nie była, tak jak w przypadku większości młodych ludzi, ucieczka do miasta i uprawianie jakiegoś „miastowego” zawodu. Już w pierwszej klasie liceum wiedział, że swoją przyszłość zwiąże może nie tyle z rolnictwem, co na pewno z przyrodą. Wahał się co do wyboru kierunku studiów, ale ostatecznie zdecydował się na studiowanie biologii na Uniwersytecie Warszawskim.

Na ten sam kierunek studiów zdecydował się jego najbliższy przyjaciel z ławki szkolnej, Jurek Waligurski. Obaj chłop-

cy znali się od zawsze. Jurek, szczupły, ciemnowłosy chłopak, był synem nauczycieli z miejscowej szkoły. Państwo Waligurscy, którzy oprócz niego mieli jeszcze dwie młodsze córki, musieli także mocno zaciskać pasa, żeby wysłać syna na studia do Warszawy. Pensje nauczycielskie nie pozwalały na rozrzutne życie. Patrzyli z sympatią na przyjaźń syna z Maćkiem. Później bez zbędnych dyskusji zaakceptowali wybór syna dotyczący kierunku studiów.

A chłopcy jeszcze w szkole podstawowej, może dzięki świetnemu nauczycielowi biologii, wielkiemu pasjonatowi przyrody, zakochali się w pięknie jezior, łąk, pól i lasów. Niejednokrotnie, kiedy powinni byli siedzieć nad lekcjami, uciekali do lasu albo w pola, żeby z bliska obserwować życie roślin, ptaków i zwierząt. Chociaż obaj bardzo zdolni, często dostawali dwóje za nieodrobione lekcje. Zamiast ślęczeć nad rachunkami i rozprawkami z polskiego, woleli udawać słynnych indiańskich tropicieli.

Niezapomniane wrażenie wywarła na nich, a szczególnie na Maćku, szkolna wycieczka zorganizowana przez profesora Zarzyckiego, który był ich wychowawcą w liceum, do Doliny Rospudy. Profesor, znający niemal każdy metr kwadratowy doliny na pamięć, godzinami potrafił opowiadać swoim uczniom o tym jednym z najcenniejszych obszarów torfowiskowych w Polsce. Wtedy to, jak później mawiał Maciek, bagna rzuciły na niego urok i przyciągały go do siebie jakąś magnetyczną, niewytłumaczalną siłą.

Nawet ich życie uczuciowe przebiegało podobnie. Będąc na drugim roku studiów, poznali w czasie wakacji dwie studentki medycyny z Warszawy, Ewę i Joannę, i od dwóch lat stanowili, przynajmniej według przyjaciół i znajomych, dwie nierozłączne pary. Koledzy robili nawet zakłady, że dwaj przyjaciele staną na ślubnym kobiercu ze swoimi wybrankami w tym samym dniu.

Dzisiaj Maciek jednak nie myślał jeszcze o tak, jak by się

zdawało, odległej przyszłości. Już drugi rok z rzędu przyjeżdżał nad Biebrzę na obóz naukowy z siedmioma innymi kolegami. Wśród kolegów nie mogło oczywiście zabraknąć Jurka. Podobnie jak pozostali, obaj przyjaciele wybrali sobie tematy pracy magisterskiej związane, ogólnie mówiąc, z nadbiebrzańską przyrodą. Obóz miał się rozpocząć w maju. Ponieważ kontakt z wioską leżącą gdzieś na końcu świata był bardzo utrudniony, a jedyny telefon we wsi należał do sołtysa, Maciek przyjechał wcześniej, żeby się zorientować, czy pan Zaburz, tak jak poprzedniego lata, wynajmie im starą drewnianą chatę po swoich rodzicach, w której bez krępowania kogokolwiek mogliby się rozłożyć ze sprzętem wypożyczonym z uniwersytetu: z książkami, atlasami i innymi pomocami naukowymi. Zaburz bardzo chętnie przystał na wynajęcie chaty. Chociaż w zwykłym wiejskim domu Zaburzów się nie przelewało i liczył się każdy grosz, gospodarz dobrze potraktował biednych studentów i cena, którą wyznaczył za sześciotygodniowy pobyt, nie była wygórowana. Na dodatek polecił swojej córce, siedemnastoletniej Zosi, żeby pomogła panu Maćkowi w przygotowaniu domku na przyjęcie pozostałych kolegów, którzy mieli dojechać na początku maja.

Tymczasem Maciek, zamiast zajmować się omiataniem pajęczyn, noszeniem drewna na opał i wody z pobliskiej studni oraz wykonaniem drobnych napraw w celu doprowadzenia domu do stanu używalności, siedł z Zosią nadbiebrzańską groblą, wypatrując oznak budzenia się do życia z zimowego snu zwierząt i roślin.

Zosia, prześliczna dziewczyna o typowo słowiańskiej urodzie, miała oczy jak chabry i dwa jasne, niezwyklej grubości warkocze. Była jakby troszkę nie z tej epoki. Podczas gdy jej koleżanki robiły wszystko, żeby jakimś cudem wymusić na rodzicach zakup modnych dżinsów, chodziły na dyskoteki, nosiły krótko obcięte włosy, ona była ubrana w starą spódnicę, przerobioną ze spódnicy babki Justyny, uszytą przez matkę

bluzkę ze zwykłego kretonu, a w dodatku, idąc z przystojnym studentem z Warszawy, była bosa.

Ani narzekania matki, ani wieczne utyskiwania ojca nie mogły jej zmusić do porzucenia cygańskiego trybu życia. Ukochała Bagna Biebrzańskie tak jak kiedyś jej babka, Justyna. I chociaż bagna zabrały babce życie, miłość do nich, jaką przekazała wnuczce, pozostała. Po ukończeniu szkoły podstawowej, gdzie, delikatnie mówiąc, nie wykazała się ani specjalnymi talentami, ani zbytnią pilnością, nie paliła się do kontynuowania nauki.

Jednak pan Zaburz, wykazując się zdrowym chłopskim rozsądkiem, wiedząc, że małe gospodarstwo podzielone w przyszłości na córkę i jej trzech młodszych braci nie wyżywi tak licznej gromady, zmusił córkę, aby podjęła dalszą naukę w szkole ogrodniczej w pobliskim miasteczku. Nie był to bardzo duży wysiłek, tak że po spełnieniu niewdzięcznego codziennego obowiązku szkolnego i po wykonaniu wszystkich czynności gospodarskich narzuconych jej przez rodziców Zosia zawsze miała czas, aby pobiec na bagna. Niektórzy co bardziej przesądni sąsiedzi mówili, że to babka Justyna ją wzywa. Ale kto w dwudziestym wieku wierzyłby w takie rzeczy?!

Maciek pamiętał Zosię z poprzedniego roku jak przez mgłę. Zaskoczyła go jej wyjątkowa uroda, ale była to jeszcze uroda dziecka. Pamiętał tylko rumieniącą się bez przerwy i bardzo nieśmiałą panienkę, dla której zamiana paru słów ze studentem z Warszawy, pod nieobecność rodziców przeważnie zajętych w polu, stanowiła nieopisaną mękę.

– Tak musiała wyglądać Zosia z „Pana Tadeusza” – pomyślał Maciek. – Tak samo śliczna i tak samo nieśmiała.

Zresztą, zdaniem sąsiadów, Zośka od Zaburzów chętniej rozmawiała z ptakami i zwierzętami na bagnach niż z innymi ludźmi.

Teraz było jednak inaczej. Zaraz po „ugadaniu się” Maćka

z ojcem co do wynajęcia chaty dziadków, odezwała się pierwsza:

– Chce pan, to pokażę, gdzie gniazdują bataliony. Jest ich w tym roku wyjątkowo dużo. A, i wiem, gdzie gniazdo ma para żurawi.

Maciek niepewnie spojrzał na dziewczynę.

– Chcesz powiedzieć, że wiesz, gdzie są bataliony? To część tematu mojej pracy magisterskiej!

A dziewczyna ciągnęła dalej:

– Wiem też, jak podejść najbliżej do łośi. W zimie to nie ma żadnego problemu, żeby je zobaczyć, bo nieraz podchodzą pod same okna, ale teraz to tylko ja wiem, jak się do nich zbliżyć.

– No, no. Nie brak ci chętności.

Chłopak nie wiedział, co o tym myśleć. Ale Zaburz, słysząc ich rozmowę, odezwał się:

– Dziewczyna zna bagna lepiej niż swój dom rodzinny. Zna tam chyba każdy centymetr ziemi. Próbowaliśmy z matką wybić jej z głowy włóczenie się po bagnach, szczególnie po tym, co się zdarzyło mojej teściowej. Ale że musiałbym wiązać ją codziennie powrozem, tośmy machnęli ręką. Byle zrobiła to, co do niej należy, w gospodarstwie. Chłopcy są jeszcze za mali, żeby pracować, a i tak się garną do roboty o wiele bardziej niż ona.

Zosia pokornie schyliła głowę, słysząc te uwagi ojca, ale dusza jej śmiała się na myśl, że przynajmniej dopóki we wsi będą studenci, dopóty może bez narażania się na zbędne zrządzenie ze strony rodziców przebywać na bagnach do woli.

– Dlaczego chodzisz bez butów? – Chłopak bez specjalnego zainteresowania, ale trochę zaintrygowany spojrzał na bose stopy idącej u jego boku dziewczyny. – Przecież to dopiero kwiecień, zaziębisz się!

– E, tam. – Zosia machnęła ręką. – Nic mi nie będzie. Ja nigdy nie choruję. W butach nie wyczułabym topieli, a na bo-

saka zawsze wiem, gdzie można stanąć, żeby bagna nie wciągnęły.

Maciek z coraz większym niedowierzaniem spoglądał na dziewczynę. Było w niej coś niespotykanego, a nawet jakby coś mistycznego.

– Matka się o ciebie nie boi? Szczególnie po tym, co się zdarzyło twojej babce?

Dziewczyna nagle spochmurniała.

– Babka ratowała naszą Krasulę. Krowa za ciężka, nie dała rady. Ale pst!

Zosia pokazała Maćkowi na migi, że ma być cicho. Byli dobrych parę kilometrów od domu. Zbliżali się właśnie do zarosli. Dziewczyna, jakimś sobie tylko znanym sposobem albo szóstym zmysłem, wyczuła obecność prawowitych mieszkańców tej krainy. Maciek, starając się stąpać jak najciszej i nie dotykać gałązek leżących na ziemi, posłusznie podążał za swoim, zdobytym w tak nieoczekiwany sposób, przewodnikiem. Jeszcze dwa kroki i ujrzał, zaledwie może dziesięć metrów od miejsca, gdzie stali, majestatycznie wyglądającego łosia, który spokojnie, jakby nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, ogryzał korę z drzewa. Chłopak stał w niemym zdumieniu. W ubiegłym roku obserwował z kolegami łosie w tym rejonie, ale było to zawsze z bardzo dużej odległości. Nie miał pojęcia, że to przepiękne, płochliwe zwierzę pozwoli się podejść tak blisko.

Tymczasem mała czarodziejka znowu bezgłośnie dała znać Maćkowi, że czas się wycofać, zanim łosć dojdzie do wniosku, że ktoś mu chce przeszkodzić w kolacji.

Dni, które potem nastąpiły, miały na zawsze pozostać w pamięci młodego naukowca. W oczekiwaniu na kolegów, nie chcąc zupełnie zawieść ich zaufania, Maciek nawet kosztem snu wykonywał niezbędne prace w chacie, w której mieli zamieszkać.

Kiedy tylko Zosia zdołała się uporać z obowiązkami szkol-

nymi i gospodarskimi, natychmiast szli podziwiać kolejne cuda nadbiebrzańskiej przyrody. Przemierzali codziennie całe kilometry. Dziewczyna sobie tylko znanymi sposobami potrafiła przeprowadzić Maćka przez pas trzcinowisk okalających rzekę i dojść do strefy turzycowisk znajdujących się teraz pod wodą. Stąd, pośród obsychających rozlewisk, mogli obserwować majestatycznie kroczące żurawie. Czasami brali rowery i jechali nad Brzozówkę. Kiedyś o mało nie weszli na parę dzików odpoczywających w tak licznych tu łożynach. Widzieli przemykające się lisy i jenoty. Podziwiali białe dywany zawilców i żółte kobierce kaczeńców. Raz, mając zgodę rodziców dziewczyny, poszli oglądać wschód słońca nad Biebrzą, gdy cały świat, otulony jeszcze nocnymi mgłami i oparami rzecznyymi, z niechęcią budził się ze snu. Maciek, całe życie marzący o dalekich, egzotycznych podróżach, doskonale wiedział, że widok kilkunastu czapli stojących nieruchomo nad rzeką niczym powyginane pnie drzew, mógłby zadowolić najbardziej wytrawnego podróżnika.

Jak na kwiecień, cały czas było wyjątkowo ciepło. Ptasie koncerty rozpoczęły się na dobre. Usłyszeli nawet gulgoczącego cietrzewia, który czując, że przyroda przyspiesza, zdecydował się nie czekać do maja. Wszystko zieleniło się w oczach.

Pewnego popołudnia zapędzili się tak daleko od domu, obserwując wiosenne przeloty gęsi i wsłuchując się w metaliczne trąbienie żurawi, że zanim się spostrzegli, zrobiło się ciemno.

– Zosiu, zobacz! – zawołał Maciek, spoglądając w rozgwieżdżone nad ich głowami niebo. – Spadające meteoryty! Szybko, zamknijmy oczy i pomyślmy sobie jakieś życzenia!

Ta posłusznie wykonała polecenie.

– Co sobie pomyślałaś? – Bo ja chciałbym co roku tutaj przyjeżdżać, a ty?

Dziewczyna zmieszała się i z pokraśniałymi policzkami niepewnie spojrzała na pytającego. Ale zaraz odzyskała rezon i odpowiedziała:

– Nie wolno takich życzeń wypowiadać na głos, bo się nie spełnią.

Maciek zaśmiał się wesoło, nie próbując nawet znaleźć odpowiedzi na pytanie, dlaczego nagle poczuł się bardzo szczęśliwy.

– Wracajmy, bo i tak już będę się musiał gęsto tłumaczyć przed twoimi rodzicami. Już się pewnie niepokoją i myślą, że nas bagna pochłonęły.

Tego wieczoru Maciek nazwał Zosię Rusałką.